

II/939

Bogumiła Smolańska-Zdanekiewicz-Zdanekiewicz
przed wojną mieszkała w Samborze woj. lwowskim

© ARCHIWUM WSCHOĐNIE

Moje wojenne losy

Był rok 1940. Rozpocząła się pierwsza wojenna wiosna. Do naszego mieszkania przydzielono na kwaterę oficera NKWD z żoną i dwójkiem małych dzieci. Pozostawiono nas w przechodnim pokoju i wspólnej kuchni. 18 marca w nocy rozbudziło nas silne walenie do drzwi wejściowych, słychać było hałas i męskie głosy. To przyszli enkawudziści, towarzyszyła im żydowska milicja. Rozpoczęła się rewizja, przerzucili co się dało, a potem zwrócili się do Ojca: "a Wy pójdziecie z nami". Nigdy więcej nie zobaczyłam Ojca, i nigdy niczego się o Nim nie dowiedziałam. Rozpoczęła się codzienna wędrówka mojej mamy pod więzienie. Było tam zawsze tłoczno. Noc 18 marca była ^{noc} "branka" w Samborze. Ale wszyscy spod więzienia byli brutalnie odpędzani. Wkrótce potem rodziny aresztowanych zostały wywiezione w głąb Rosji na Sybir i do Kazachstanu. A było to w pamiętną noc 13 kwietnia 1940 r. W tę noc po raz drugi obudziło nas natarczywe, mocne walenie do drzwi. Tym razem wyczułyśmy już o co chodzi. Weszło znów kilkunastu. Kazali nam szybko ubierać się i szykować do wyjazdu. Dziwnie spokojnie przyjęłyśmy ten wyrok. Spytałyśmy tylko: "dokąd nas wywozicie?". - "do Odessy, na stacji czeka na was Ojciec". Zaczęło się bezładne pakowanie. Wszystko wypadło z rąk. W głowie był wielki zamęt. W pewnym momencie moja mama powiedziała: "musimy wziąć ubranie dla Ojca". To ubranie miało ogromne znaczenie w naszych późniejszych losach. Kiedy wychodziłyśmy z domu szarzało. Byłyśmy w połowie podwórka gdy wybiegła za nami Rosjanka. W rękach miała nasze żelazko. - "Tietinka można wziat' etot ubiag?" - I dała nam 15 rubli. To były jedyne pieniądze jakie miałyśmy na tę daleką drogę. Na ulicy

stał ciężarowy samochód. Usiadliśmy na tobołkach, samochód ruszył. Był wczesny, ponury świt. Było zimno, ulice były puste. Miasto spało nie wiedząc jeszcze jaka dokonała się w nim zbrodnia. Mijałyśmy znajome domy nie przypuszczając, że żegnamy się z tym miastem na zawsze. Samochód zatrzymał się na dworcu przed bardzo długim pociągiem towarowym. Był wielki ruch i wrzawa. Podjeżdżały samochody, wciskano siłą do wagonów przywiezione kobiety, dzieci i osoby stare. Wepchnięto też i nas. Wagon nie był jeszcze zupełnie zapełniony. Dowozili coraz to inne osoby. Robiło się coraz ciasniej. Trwało to długo. Po całodziennym niemal staniu na torach zaczęto na dobre zabijać wagony, koła ciężko ruszyły z miejsca. Przez dwa tygodnie towarzyszył nam ten złowieszczy, nieznośny stukot kół. Nie wiedziałyśmy dokąd jedziemy, jaki los nas czeka. Ojca naturalnie nie było z nami. Straszna to była droga. Było ciasno, duszno, ciemno, szpary w deskach były zbyt wąskie by można było cokolwiek przez nie zobaczyć. A do tego największa udręka i upokorzenie to wiadro bez dna, w wyciętej na środku wagonu dziurze. Pierwszy postój miał miejsce już poza granicami Polski na zupełnym odludziu. Wszystkie inne postoje były w miejscach zupełnie niezamieszkałych, dalekich od stacji kolejowych ale przy studniach lub kranach. Dostawaliśmy wtedy po kawałku chleba i można było nabrać wody. Był koniec kwietnia gdy pociąg zatrzymał się na dobre. Byłyśmy w Maštuku, w Kazach⁵tanie w Akti⁵bińskim obwodzie. Z wagonów poprowadzili nas do ogromnej długiej szopy. Był bardzo zimny ranek, na ziemi w szopie był gruby szron. Niedługo potem podjechały samochody i ruszyłyśmy w dalszą drogę. Przejeżdżałyśmy właśnie przez szeroko rozlaną, na skutek wiosennych roztopów, rzekę Iljek, gdy naraz naszym oczom ukazał się niezwykle widok. Rozciągający się przed nami step, był cały czerwony od kwitnących, dzikich tulipanów. Oszokomijające to było zjawisko po dwutygodniowych mrokach zamkniętego wagonu. Aż tyle

piękna na raz. A samochód jechał dalej i dalej, pozostały za nami czerwone tulipany, przed nami coraz bliżej było nasze miejsce przeznaczenia, jak okazało się wkrótce był nim posesłek Nagornyj oddległy o 20 km od Mastuka. Samochód zatrzymał się we wsi przy małym domku z gliny. Kazano nam znosić rzeczy. Nie bardzo można było się pomieścić w dwóch izbach. Było nas 10 rodzin a razem 28 osób.

Ledwo rozmieściłyśmy swoje tobołki zbiegły się miejscowe kobiety i dzieci oglądając tych kapitalistów i krwiopijców, bo tak ich na nasz przyjazd przygotowywano. Naprzód nieufnie, potem coraz śmielej podchodziły do nas i nieomal z nabożeństwem dotykały naszych ubrań i cmokając z zachwytu wzdychały: - "oj kakoje eto krasiwoje". To też zaraz rozpoczęły się pierwsze kontakty handlowe i już można było mieć mleko, masło, jajka. Najgorzej było z chlebem. Chleba nie można było kupić, można było tylko dostać swój "pajok" za pracę w kołchozie. Na drugi dzień przydzielono nam lepianki. Ja z mamą zamieszkałam z pp. Tuczkami ich dwiema córkami, p. Marysią Łotecką i p. Jadzią Biegus oraz jej córeczką Lusią. Drugie dziecko p. Jadzi urodziło się już w Mastuku. Był to śliczny chłopczyk Jureczek. Cała rodzina została wywieziona z powodu męża p. Jadzi, który pracował w więziennictwie i został aresztowany 18.III. 40 r. Trzeciego dnia trzeba było już iść do pracy. Nasza pierwsza praca polegała na kopaniu rowów w stepie, do nawodniania. Rów miał mieć 1 m głębokości, około 60 cm szer. i wysoki uformowany nasyp. Dano nam łopaty i do roboty. Były wśród nas osoby w różnym wieku, trochę młodzieży, ale też kilka starszych pań, przemiły wujek Ewy Sz^{my}zereczańskiej - były Sybirak i powstaniec wielkopolski, byli też staruszkowie pp. Żyblikiewiczowie. Żałosna to była brygada. Do przerwy obiadowej mieliśmy już ręce w pęcherzach. Stałyśmy z mamą b. zmęczone i podszedł do nas nasz brygadier Dziuba. Niezły był z niego człowiek. Popatrzył na moją mamę i powiedział: